

A close-up portrait of a man with a full, light-colored beard and mustache, wearing a dark fur hat. He is looking slightly to the right with a neutral expression. The background is a textured, light-colored wall.

Victor Ast

W MATNI

A street view of traditional half-timbered buildings in Frankfurt, Germany. The buildings feature dark wooden frames and white plaster. Some have flower boxes under the windows. The scene is captured in a slightly desaturated, high-contrast style.

CZTERY DNI
WE FRANKFURCIE NAD MENEM

Victor Ast

W matni

Cztery dni we Frankfurcie nad Menem

Tytuł oryginału: In der Schlinge

Przekład: Markus Lipowicz
®wszelkie prawa u Christine Lipowicz

© Copyright by
Victor Ast
Projekt okładki:
e-bookowo

Zdjęcia wykorzystane na okładce: Rafał Karcz i Victor Ast

ISBN 978-83-7859-288-4

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2014

Rozdział 1

David Fastman nie mógł podzielać zachwyty większości pasażerów *jumbo jeta*, jak popularnie nazywano najnowszego Boeinga B 747 dopiero od niedawna latającego przez Atlantyki. Nie było go tu i teraz we współczesnym świecie, leciał pod prąd czasu powracając w przeszłość, w strony rodzinne, do Niemiec. I już na samą myśl ścisnęło go w gardle... Jak wtedy...

Jaskrawe promienie słońca wpadające przez okrągłe okienko, przy którym siedział, wyrwały go z pólśnu. Odruchowo spojrzął na zegarek. Czy przestawił go na czas środkowoeuropejski? Tak, oczywiście, przypomniał sobie. Krótco po starcie. Dochodziła dziewiąta. Rozejrzał się i jego wzrok padł na sąsiada. Był to krzepki facet w czerwonych szelkach, które na brzuchu przygniatały mu białą koszulę w niebieskie paski. Siedział rozparty w swoim fotelu i trzymał przed sobą rozpostartą gazetę FRANKFURTER ALLGEMEINE sprawiając wrażenie, że ją czyta. Ludwig Wenger, Amerykanin, tak naprawdę pochodzący z niemieckiego miasteczka Kaufering, miał niemal chorobliwą potrzebę opowiadania o sobie. Fastmanowi wydawało się więc, że wie już o nim prawie wszystko – jako czternastolatek

wyjechał z rodzicami do Ameryki, do San Diego, gdzie jego ojciec objął kierownictwo techniczne jakiejś drukarni. On sam zaraz po ukończeniu nauki na masarza otworzył sieć *Steakhausów* i zarobił na tym sporo pieniędzy. Teraz zamierzał, oczywiście najpierw na próbę, otworzyć pierwszą restaurację we Frankfurcie nad Menem.

– Na placu Roemerberg stale jest ruch – rzucił sąsiad, najwyraźniej zadowolony, że znowu ma z kim rozmawiać. – Ta zabytkowa część miasta powinna być atrakcją również dla żarłoków. Na terenie targów też dałoby się coś zrobić, i na lotnisku. A kto pierwszy... Rozumie pan? – zaśmiał się Wenger szczerząc zęby i mocno strzelił szelkami, jakby chciał podkreślić bezsensowność jakiegokolwiek sprzeciwu.

Ale Fastman nie zamierzał sprzeciwiać się. Bo i po co? Nigdy nie miał wspólnego języka z ludźmi biznesu i był przekonany, że nigdy go mieć nie będzie. A jego przypadkowy towarzysz podróży wyglądał na typowego biznesmena. To nie był jego świat. W normalnych warunkach schodził im z drogi. W normalnych warunkach! Teraz nie miał wyjścia. Na prawie dziewięć godzin los uszczęśliwił go towarzystwem tego nieszczęśnika goniącego za zyskiem i nie można było tego zmienić. Niestety.

– No, rozbudził się pan? – Wenger znowu wyszczerzył zęby. – Zaraz koniec naszej podróży. I co, miałem może pana zbudzić na śniadanie? Powiedziałem stewardessie – Daj chłopakowi pospać, kto wie w czyich ramionach teraz mu się

tak błogo drzemie. We Frankfurcie na pewno czeka już na niego dobre śniadanie.

– Dziękuję – mruknął Fastman. Niech mu się zdaje, że ma rację, pomyślał.

Z przerażeniem spostrzegł, że Wenger składa gazetę. Nie, nie, już żadnych rozmów! Spojrzał jeszcze raz na zegarek. Za kilka minut wylądują... we Frankfurcie. Ogarnęła go panika. Najchętniej zostałby na swoim miejscu, nie wysiadłby w ogóle z samolotu i poleciał zaraz z powrotem do Nowego Jorku. Czy ta podróż ma jakiś sens? A może jednak to był błąd z tym przyjazdem tutaj? Czy udźwignie konfrontację z przeszłością? I czy w ogóle tego chce? Gdyby Bill Harley nie pokazał mu zdjęć z podróży po Europie, a zwłaszcza tego jednego, teraz mógłby jeszcze kilka godzin pospać sobie wygodnie we własnym łóżku, a później, przy śniadaniu spokojnie zastanawiać się, z kim w nadchodzący weekend zagra w tenisa.

Przed oczami wciąż na nowo pojawiała się mu to przekłete zdjęcie, ta twarz. Jak wtedy, jak w snach! Fotografia mężczyzny, profesora fizyki jak on, tyle że na uniwersytecie Johanna Wolfganga Goethego we Frankfurcie nad Menem. Profesor Albert von Riddagshausen. Dzisiaj! Minęło dwadzieścia sześć lat i prawie dokładnie cztery miesiące. Wtedy był to kapitan Heinrich Schulze. Zdjęcie było na tyle wyraźne, że nie pozostawiało wątpliwości. To ta sama twarz. Duże brązowe znamię na lewym policzku i myślące niebieskie

oczy pod wysokim czołem intelektualisty. Tylko włosy nie tak jasne jak wtedy. Zresztą czy to w ogóle możliwe, że kapitan Heinrich Schulze i profesor Albert von Riddagshausen to ta sama osoba?

Fastman próbował przypomnieć sobie wszystkie rozmowy telefoniczne, jakie w ciągu minionych trzech tygodniach prowadził z Albertem von Riddagshausenem. Jakże uprzejmie i łagodnie brzmiał jego głos, gdy przed trzema dniami nieśmiało zaproponował, by Fastman zatrzymał się w jego domu gościnnym, tuż obok Willi, w której mieszkał z rodziną. Jak gorąco podkreślał, że to wielki zaszczyt mieć możliwość osobiście poznać Fastmana, przedstawić go swoim studentom i współpracownikom, a także gościć go u siebie, prywatnie, w rodzinnym gronie. Nie, pomyślał Fastman, to nie jest głos mordercy, zbrodniarza wojennego, który wtedy wrzeszczał: *Do cholery jasnej, uciekaj! Na co jeszcze czekasz? Uciekaj! Inaczej będę musiał cię zabić! Nie rób mi tego, chłopcze, do diabła! Zapomnij moją twarz! Zapomnij najlepiej o wszystkim, co tu widziałeś, i uciekaj!*

Słowa te prześladowały Fastmana przez ponad ćwierć wieku i aż do pierwszej rozmowy telefonicznej z Albertem von Riddagshausenem mógłby przysiąc na wszystko, że rozpozna ten głos zawsze, do końca życia! A jednak przez ostatnie trzy tygodnie stale zadawał sobie to samo pytanie – czy rzeczywiście był to ten sam głos?

– Please fasten your seat-belt, sir – jakby z oddali dopłynął

głos stewardessy.

Minęło kilka chwil, zanim zdał sobie sprawę, że mówiła do niego.

– Sorry! – podniósł wzrok i spojrzał na nią.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– He slept up to now, you know? – odezwał się Wenger spoglądając porozumiewawczo na stewardessę.

Fastman osłupiał. Głos Wengera wydał mu się dziwny, jakiś inny, nosowy, bardziej uprzejmy i elegancki. W każdym razie nie taki jak dotychczas. Nagle zrozumiał, nagle wszystko stało się dla niego absolutnie jasne. Inny język. Do tej pory jego sąsiad rozmawiał z nim po niemiecku, a do stewardessy odezwał się po angielsku. Albert von Riddagshausen też rozmawiał z nim po angielsku. Nie mógł przecież wiedzieć, że Fastman zna niemiecki. Dla Alberta von Riddagshausena Fastman był genialnym amerykańskim fizykiem, słynnym profesorem w *Institute for Advanced Study* przy znanym na całym świecie uniwersytecie w Princeton. Wówczas, przed dwudziestu sześciu laty dla kapitana Heinricha Schulzego był tylko Davidem Grundmanem, żydowskim bękartem, podczłowiekiem, na którego wrzeszczał po niemiecku...

Jęk dławiących się silników podchodzącego do lądowania olbrzyma przerwał tok myśli Fastmana. Samolot przechylił się na lewą stronę, zatoczył wielki łuk przelatując nad miastem od wschodniej, a kilka sekund później od północnej strony, zanim zmienił znowu kierunek, by wylądować od

wschodu. Fastman spojrział przez okienko. Wyraźnie mógł już rozpoznać dachy budynków południowych dzielnic miasta, Frankfurtu nad Menem. Miasta jego losu czy też przeznaczenia. Tu się urodził przed trzydziestu czterech laty i tutaj spędził pierwsze osiem lat swojego życia. Ale i tak nigdy nie będzie to jego miasto... Gdzieś tam w dole spoczywa cała jego rodzina... matka, ojciec i dwie małe siostry, Nella i Anita. Bez grobu z nazwiskiem i imionami. Pogrzebani jak szczury.

Znowu powróciła scena z przeszłości. Huk strzałów, przerażone dziewczynki... i twarz kapitana Heinricha Schulze. Dlaczego darował mu życie? Dlaczego najpierw zastrzelił rodziców, potem siostry, a jemu pozwolił, czy wręcz kazał uciekać? Dlaczego tylko jemu?

– Szanowni państwo, tu mówi kapitan – słowa płynące z głośników przerwały tę podróż w przeszłość. – Za chwilę wylądujemy we Frankfurcie nad Menem. W imieniu *Pan American* dziękuję państwu serdecznie za wspólną podróż oraz zaufanie do naszych linii.

Kilka minut później Boeing B 747 dotknął ziemi. Niemieckiej ziemi! Przeklętej niemieckiej ziemi, na której Fastman nie chciał stanąć już nigdy w życiu. Obiecał to sobie dwadzieścia sześć lat temu. I teraz przyleciał tu, do miasta, w którym jego beztroskie dzieciństwo zamieniło się w piekło. I właśnie w tym mieście będzie honorowym gościem człowieka, który... Ale czy to naprawdę ten człowiek? Fastmanowi zakręciło się w głowie. Czuł gonitwę myśli.

W jaki sposób będzie mógł wycofać się z zaaranżowanej przez samego siebie współpracy z niemieckimi kolegami naukowcami, jeśli okaże się, że dzisiejszy profesor Albert von Riddagshausen to rzeczywiście dawny kapitan Heinrich Schulze. Fastman nigdy nie potrzebował żadnej współpracy. A już z całą pewnością nie z Niemcami. Co zrobi, gdy stanie twarzą w twarz z Schulzem? Pobić go tak, że tamten nie będzie miał siły prosić o łaskę? A później..? Oko za oko, ząb za ząb? Nie, nie, odzegał się Fastman, w żadnym razie. Nie można zniżyć się do tego samego...

– Welcome to good old Germany! – zagrzmiał Wenger i mocno klepnął Fastmana po plecach – miłego pobytu w ojczyźnie!

– Dziękuję – powiedział Fastman niepewnie. – A panu powodzenia w interesach.

– Z tym pobożnym zamiarem właśnie tu przyleciałem – uśmiechnął się Wenger. – Dziękuję za życzenia, nigdy nie wiadomo, kiedy się przydadzą. Mam na myśli...

Fasman uśmiechnął się zakłopotany i przepuścił Wengera do przodu chcąc wreszcie się go pozbyć. Po wyjściu z samolotu okazało się, że do budynku lotniska trzeba dojechać autobusem. Fastman zrobił pierwsze kilka kroków po niemieckiej ziemi. Właściwie jako kto tu przyjechał? Mściciel? Nie, nie! A może jednak? Czuł się rozdarty, skołatany. A już miał nadzieję, że po tylu latach wyzwolił się wreszcie od tej strasznej przeszłości i że może optymistycznie spoglądać

w przyszłość. Po co, u diabła, tu przyleciał? Przypomniał sobie wers Celana: *śmierć jest mistrzem z Niemiec*. Może więc to wezwanie śmierci? Śmierci ucieleśnionej przez Heinricha Schulze alias Alberta von Riddagshausena. Jak właściwie powinien czuć się człowiek składając wizytę śmierci, pomyślał Fastman? Jak ma się zachować?

W momencie, gdy podnosił walizkę z taśmy, doznał olśnienia. Musi zachowywać się neutralnie, niepodpadająco. Albert von Riddagshausen nie może nawet podejrzewać, że został zdemaskowany. To w końcu tylko cztery dni. Tylko do poniedziałku. Te cztery dni jakoś wytrzyma. A w poniedziałek, podczas oficjalnego spotkania na uniwersytecie zrealizuje swój plan... Jak w transie przemierzał halę przylotów. Kto będzie go oczekiwał? Przecież dopiero w ostatniej chwili powiadomił Alberta von Riddagshausena, że przyleci dwa dni wcześniej, niż zamierzał. Czy profesor zdołał zmienić swe plany, by osobiście go powitać? Fastman miał nadzieję, że nie.

DR. DAVID FASTMAN. WELCOME TO GERMANY!

Młoda czarnowłosa kobieta średniego wzrostu trzymała wysoko nad głową tabliczkę. Fastman odetchnął. Gdy stanął przed nią, nie mógł wydobyć z siebie słowa. Przed oczami pojawiła mu się scena, którą widział wiele razy. Ale gdzie?

Tak, to była scena z jednego z tych pozbawionych kolorów filmów utrwalonych w czarnej skrzynce jego pamięci. Ruchomych obrazów, które przed laty wielokrotnie

powracały we snach. Czy teraz był to tylko sen, czy też jakaś odległa rzeczywistość? Wydawało mu się, że ta młoda kobieta coś mówi. Dotknął lewego ucha, jak zwykle, gdy czuł się niepewnie obok atrakcyjnej kobiety. Teraz też czuł się niepewnie, nawet bardzo, ale nie dlatego, że ta kobieta była atrakcyjna. Zresztą wcale nie jest atrakcyjna, pomyślał. Chociaż...? Nie, nie był w stanie tego ocenić. Zauważył tylko jej wielkie ciemnoniebieskie oczy. Smutne, a zarazem śmiejące się. Było w niej coś, co go zafascynowało. Nie umiał tego zdefiniować, ale był pewien, że to nie uroda. Trwało chwilę, zanim dał jej znak ręką.

– Are you doctor Fastman? – zapytała i brzmienie jej głosu ponownie zbiło Fastmana z tropu. Miał wrażenie, że zna ten głos od pradawnych czasów. Z czarno-białych filmów?

– Yes, my name is Fastman, David Fastman – powiedział i szybko dodał: – Możemy rozmawiać po niemiecku.

– Ach, pan mówi po niemiecku! – zdziwiła się, jakby chciała powiedzieć, że zupełnie tego się nie spodziewała. – Nazywam się Sara Riddagshausen – z uśmiechem podała mu rękę. – Mój ojciec przeprasza, ale nie mógł osobiście powitać pana na lotnisku. O dziewiątej miał wykład i prosił, żebym pojawiła się tu w jego zastępstwie. Przyjdzie około dwunastej, prosto do domu. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, żebyśmy z moją matką zaopiekowały się panem.

– Ależ skąd! – powiedział Fastman z uśmiechem. Spadł mu kamień z serca, że to nie Albert von Riddagshausen czekał na

niego. Kilka metrów przed sobą zauważył kwiaciarnię.

– Przepraszam, zostawię panią na chwilę – powiedział.

Kilka minut później stanął przed nią z dwoma wielkimi bukietami.

– To dla pani – podał jej kwiaty.

– A ten drugi z pewnością dla mojej matki – uśmiechnęła się. – Dziękuję. To bardzo miło z pana strony – dodała po chwili.

Fastman był zadowolony, że znowu panuje nad sytuacją.

– W którą stronę idziemy?

– Tutaj – Sara wskazała na lewo. Za płotem ogrodzającym jakąś budowę obok kiosku z gazetami Fastman zauważył sklep fotograficzny sieci Porst.

HANSHEINZ PORST ZDEMASKOWANY JAKO RADZIECKI SZPIEG! – rzucił mu się w oczy wielki nagłówek w *Bild Zeitung*. A tuż obok:

MORALNY UPADEK: AMERYKAŃSCY ŻOŁNIERZE SPRAWCAMI MASAURY W MY LAI!

Mimo woli przypomniało mu się zdjęcie, które zdecydowało o jego przyjeździe do Frankfurtu. Porównał w myślach tamtą twarz z twarzą Sary. Nie mógł doszukać się żadnego podobieństwa. Jej kruczoczarne włosy i śniada cera sugerować mogły raczej południowe pochodzenie. A Heinrich Schulze miał wygląd stuprocentowo germański. Pewnie ma matkę z Włoch albo z Hiszpanii, pomyślał.

– Mam nadzieję, że dobrze będzie się pan czuł w naszym

domu gościnnym – powiedziała Sara. – Jest bardzo wygodny i stoi jakieś pięćdziesiąt metrów od naszej willi.

I znów ogarnęła go fala niepewności, której źródłem była bez wątpienia Sara. Ta młoda kobieta całkowicie paraliżowała jego pewność siebie. Ale dlaczego? Widział ją przecież pierwszy raz, a jednak miał osobliwe uczucie, że zna ją całe życie.

– Była pani może kiedyś w Stanach? – zapytał, by przerwać bezsensowne rozważania. A może chciał upewnić się, że naprawdę nigdy jej nie widział?

– Nie... nie byłam... ale z pewnością kiedyś to nadrobię – z oczu Sary odczytać można było pewne zakłopotanie, jakby czuła się winna nie mogąc dać mu twierdzącej odpowiedzi. – Moja przyjaciółka od dłuższego czasu namawia mnie na podróż za ocean. Ona lata tam stale, dwa, trzy razy do roku. Kilka razy już byłam zdecydowana, ale zawsze coś mi przeszkodziło. Właśnie we wtorek..., tak, przedwczoraj poleciała do Nowego Jorku. O mało nie pojechałam z nią.

– I czemu pani nie poleciała? – chciał wiedzieć Fastman i szybko dodał: – Oczywiście cieszę się, że zdecydowała pani inaczej. Nie miałbym wtedy okazji poznania pani.

– Cała przyjemność po mojej stronie – uśmiechnęła się. – Annika, tak ma na imię moja przyjaciółka, rezerwowała bilety przed dwoma miesiącami. I wtedy byłam prawie pewna, że od listopada zacznę pracować w szpitalu. Ach, pan przecież nie może wiedzieć... W czerwcu skończyłam

medycynę... I dopiero pod koniec października przestałam sama się oszukiwać.

– Nie bardzo rozumiem – zdziwił się Fastman. – Na czym miałyby polegać to samooszukiwanie i jaki ma to związek z ukończeniem studiów medycznych?

– To dość skomplikowane...

– Ach, proszę spróbować – przerwał jej Fastman z uśmiechem. – Wie pani z pewnością od ojca, że jestem fizykiem. Tak więc w pewnym sensie moje życie polega na rozumieniu skomplikowanych rzeczy.

Sara odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech. Nawet jak się uśmiecha, ma tak strasznie smutne oczy, pomyślał Fastman.

– Zawsze chciałam studiować medycynę, ale... tak naprawdę nigdy nie chciałam zostać lekarzem zajmującym się chorymi.

– Słucham? – zdziwił się David. – Przecież zdrowi nie potrzebują lekarza.

– Potrzebują nie lekarza, a medyka! – powiedziała Sara z naciskiem. – Jestem przekonana, że powinno się na nowo przemyśleć i zacząć inaczej pojmować rolę medycyny. Jej zadaniem jest nie tylko leczenie. Leczenie to ostateczność! Medycyna ma zachowywać zdrowie! W końcu jesteśmy służbą zdrowia, a nie służbą choroby! O wiele ważniejsze są badania naturalnych mechanizmów leczenia.

– Jeśli więc dobrze rozumiem, chce pani zostać medykiem,

a nie lekarzem?

W tym momencie Fastman przypomniał sobie, jakby to było wczoraj, dawne rozmowy rodziców. Ojciec stale przekonywał matkę, że to właśnie fizycy i medycy, a w żadnym wypadku nie lekarze, grają pierwsze skrzypce w rozwoju medycyny. Ujrzał wyraźnie, jak matka kładzie rękę na ramieniu ojca, a z jej spokojnej uśmiechniętej twarzy promieniuje jednomyślność ze zdaniem ojca.

Sara Riddagshausen zatrzymała się przed czerwonym *volkswagenem garbusem*.

– To moje auto – powiedziała.

– W takim razie mamy coś wspólnego – rzekł Fastman.

– Tak? – Sara odwróciła się do niego i poparzyła mu w oczy. – Co takiego?

– Samochód. Ja też jeżdżę *garbusem*. Białym – powiedział z uśmiechem.

– To wie pan z pewnością, że pańska walizka nie zmieści się w bagażniku.

– Wiem, ale za to na tylnym siedzeniu.

Fastman był wdzięczny Sarze, że dzięki niej mógł oderwać się od problemu, który przez ostatnie cztery tygodnie spędzał mu sen z powiek.

W samochodzie pojawiło się znowu to samo uczucie niepewności czy nawet lęku. Po dwudziestu sześciu latach był na powrót w Niemczech. I nie musiał się ukrywać. Czy to w ogóle możliwe? Na próżno usiłował rozpoznawać ulice

i domy. Czyżby wszystko zapomniał? Bzdura, pomyślał, to przecież wielkie miasto.

Był zaskoczony nie widząc żadnych ruin. Domy, które mijali, zdawały się stać tu od zawsze. A przecież nie tak dawno temu widział w amerykańskiej prasie zdjęcia całkowicie zniszczonych Niemiec, niemieckich miast zrównanych z ziemią. Przypomnił sobie, jak się przyłapał na tym, że się cieszy.

– Jak to się stało, że opanował pan tak bezbłędnie niemiecki? – Głos Sary wyrwał Fastmana z zadumy. – Prawie bez obcego akcentu.

– Jest to w końcu mój język ojczysty – odpowiedział David automatycznie.

– Pański język ojczysty? – Sara odwróciła na moment głowę w prawo i popatrzyła zdumiona na Fastmana. – Ojciec nic mi nie mówił. Przeciwnie, był zadowolony, że mój angielski jest na tyle dobry, że będę mogła zająć się panem... Naprawdę jest pan Niemcem?

– Czy ja jestem Niemcem? – David westchnął głęboko. – Moi rodzice byli swego czasu przekonani, że należą do tego samego narodu co Heine, Schiller, Goethe czy Mendelssohn. Ale kiedy ja w 1935 roku przyszedłem na świat...

– Dzięki Bogu, że wtedy nie byliście państwo tutaj – przerwała mu Sara. – Nie jest wcale wykluczone, że pańska rodzina nie przeżyłaby tego piekła. Jak wiele innych rodzin zresztą. Ale przerwałam panu, przepraszam.

Spis treści

Rozdział 1	4
Rozdział 2	21
Rozdział 3	35
Rozdział 4	40
Rozdział 5	68
Rozdział 6	81
Rozdział 7	94
Rozdział 8	116
Rozdział 9	139
Rozdział 10	167
Rozdział 11	177
Rozdział 12	197
Rozdział 13	206
Rozdział 14	217
Rozdział 15	236
Rozdział 16	252
Rozdział 17	259
Rozdział 18	266
Rozdział 19	277
Rozdział 20	294
Rozdział 21	306
Rozdział 22	324



Victor Ast jest z pochodzenia Polakiem. Urodził się w 1945 roku w Barnaule na Syberii, dokąd zostali zesłani jego rodzice po wkroczeniu armii czerwonej do Polski. W 1946 roku wrócił z rodzicami do Polski. W 1971 roku ukończył studia na politechnice wrocławskiej, uzyskując dyplom magistra inżyniera budownictwa lądowego. Od 1979 roku mieszka w republice Federalnej Niemiec. W swoim dorobku konstruktora ma na swoim koncie kilka sporych mostów w Polsce, współpracę przy projektowaniu estakady szybkiej kolei magnetycznej w Szanghaju, a także 42 piętrowego budynku niemieckiej poczty w Bonn oraz wielu innych budynków. Pisać zaczął jeszcze podczas pobytu w Polsce. Perypetie związane z wczesnymi próbami literackimi opisuje w jednej ze swoich późniejszych książek.